

 Harlequin®

ROMANS

& SENSACJA



B. J. Daniels

**Cisza przed burzą**

B.J. Daniels

*Cisza przed burzą*

Tłumaczył  
Jacek Żuławnik

Tytuł oryginału: The New Deputy in Town

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2007

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta: Małgorzata Narewska, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 2007 by Barbara Heinlein

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans & Sensacja są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8186-5

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Drżącymi dłońmi otworzyła bieliźniarkę, żeby wydobyć z niej kij bejsbolowy, wciśnięty w najciemniejszy kąt szafy. Po ostatnim razie zastanawiała się, czy nie powinna w ogóle się go pozbyć, ale w końcu wytarła tylko starannie plamy krwi i postanowiła go zatrzymać.

Nie była głupia. Oglądała przecież kryminalne seriale telewizyjne, takie jak na przykład CSI, i dobrze wiedziała, jak bada się ślady krwi, w jaki sposób uzyskuje się próbki DNA, a potem tropi przestępcę.

Lecz z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że lepiej niczego nie zmieniać. Rytuał był ważny. Za każdym razem powinien być to sobotni wieczór. Zawsze powinna mieć na sobie tę niebieską sukienkę, którą założyła za pierwszym razem. I bez wyjątku powinna używać tego samego starego kija bejsbolowego, który kiedyś znalazła.

Nagle usłyszała głos dobiegający z salonu:

– Idziesz na spotkanie z przyjaciółmi? Chyba już zbyt późno na wychodzenie z domu, prawda?

Zduśla w sobie poirytowanie. Miała serdecznie dość wysłuchiwania uwag matki. Niedobrze jej się robiło, gdy pomyślała, czego się od niej oczekuje. Położyła kij na łóżku i sięgnęła po niebieską sukienkę. Jej rąbek szpeciła niewielka plamka krwi, której żadnym sposobem nie udało się wywabić. Zmarszczyła brwi, przejęta, że nawet

ta maleńka plamka może wszystko zmienić. Wypracowana rutyna legnie w gruzach.

Medytowała nad plamką kilka chwil. A może tego wieczoru nie powinna wychodzić? Ale przecież była sobota i bary będą pełne mężczyzn, którzy upiją się i będą chcieli z nią zatańczyć.

Wyobraziła sobie ich zapach, dotyk spoconych rąk na swojej niebieskiej sukience, ich oddech na swoim policzku.

Włożyła sukienkę i wzięła do ręki kij bejsbolowy.

Wyszła tylnymi drzwiami. Był sobotni wieczór, miała na sobie swoją niebieską sukienkę, a w ręku dzierżyła kij. Dziś wieczorem pewnego mężczyznę czekała niespodzianka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Był niedzielny poranek. Laney Cavanaugh zerknęła na książkę leżącą na kolanach, a potem spojrzała przed siebie. Miała problem ze skoncentrowaniem się na lekturze. Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągała się monotonna równina porośnięta wysoką, żółtą trawą, która falowała równomiernie w rytm porannego wietrzyku. Na wschodzie, daleko na horyzoncie, majaczyła posępna sylwetka starego młyna. Patrząc zaś w kierunku południowego zachodu, można było dostrzec niewyraźny zarys Little Rockies i Bear Paw, pasm górskich będących częścią Gór Skalistych. Jeśli nie liczyć tych dwóch punktów orientacyjnych, wokół rozpościerały się tysiące mil kwadratowych prerii.

– Nuda, co? – Laci, młodsza siostra Laney, wyszła z domu, a za nią trzasnęły drzwi z naciągniętą siatką przeciw owadom. – Nic dziwnego, że mama stąd uciekła. Nie znosiła tu przebywać. – Laci opadła na krzesło obok Laney, wydając z siebie głośnie westchnienie.

Laney nie zgadzała się z siostrą. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała, opanowywało ją dojmujące uczucie spokoju. Lubiła ciszę, którą mąciło jedynie cykanie świerszczy w trawie albo bzyczenie pszczół. Nocą czasem słysząc było wycie wiatru, a monotonne bębnienie deszczu o dach sprowadzało senność. A jednak dziś czuła

niepokój. Miała wrażenie, jakby lipiec wstrzymał oddech i czekał na coś, co miało się wydarzyć. To było jak cisza przed burzą. Nie podzieliła się tymi myślami z Laci, bo młodsza siostra zapewne wykiłaby jej przecucia.

– Och, tyle w tobie dramatyzmu! – często powtarzała Laci. – Powinnaś być zostać aktorką czy pisarką, nie wiem, kimkolwiek, byle nie księżową.

– Idę coś upiec – oznajmiła Laci, wstając nagle z krzesła.

Nigdy nie potrafiła usiedzieć spokojnie na miejscu. Była dopiero dziewiąta rano, a Laci zdążyła już przygotować śniadanie: placek z borówkami, tartę ze szpinakiem i boczkiem oraz koktajle owocowe. Cóż, gotowanie sprawiało jej radość.

– Nigdy nie rozumiałam, po co dziadkowi ten dom – rzuciła Laci.

Laney rozumiała. Dom był wszystkim, co zostało im po córce Genevie. Tutaj urodziły się Laney i Laci. Później ich ojciec zginął w wypadku samochodowym na drodze do Whitehorse, niewielkiego, typowego dla Montany miasteczka położonego na północy.

Początkowo osada o tej nazwie mieściła się bliżej rzeki Missouri, ale kiedy zaczęto budować na tych terenach linię kolejową, miasteczko przeniosło się osiem kilometrów na północ. Pierwotna osada została niemal całkowicie opuszczona przez dawnych mieszkańców i obecnie – za wyjątkiem nielicznych rancz i garstki oryginalnych budynków – przypominała miasteczko widmo, a raczej osadę widmo. Mówiło się o niej: Stare Whitehorse.

Miasteczko stanowiło niegdyś schronienie dla koniokradów, których osadnicy albo przepędzili, albo po pros-

tu powiesili na najbliższej gałęzi. Rodzina Laney była jedną z tych, które jako pierwsze przybyły na te tereny w pobliżu miejsca, w którym Missouri wrzyna się głębokimi meandrami w ląd.

Dom i wspomnienia o córce to wszystko, co pozostało dziadkowi Titusowi i babci Pearl. Titus dbał o dom, bo wierzył, że pewnego dnia Geneva powróci.

Zgodnie z obietnicą, każdego lata Laney i Laci przyjeżdżały na dwa tygodnie w odwiedziny. Laney co prawda czuła się winna, że nie może poświęcić na wizytę więcej czasu, ale przecież miały z Laci własne życie: Laney w Mesa w Arizonie, a jej siostra w Seattle. Przez pozostałą część roku dom stał pusty i czekał na kogoś, kto już nigdy nie miał do niego wrócić.

Laney próbowała skupić się na książce, ale jej myśli wciąż wędrowały ku innym sprawom. Zapatrzyła się w ciągnącą się przez pola gruntową drogę.

Nic się nie poruszało. Pojedyncze cumulusy upstrzyły tu i ówdzie niebo, co nie przeszkodziło słońcu piąć się coraz wyżej i wyżej i zalewać świata żarem. Chmura przepłynęła nad Laney i rzuciła ciemny, chłodny cień. Laney zadygotała i poczuła niepokój.

Nagle rozległ się tętent kopyt, a za chwilę Maddie, kuzynka Laney i Laci, wyłoniła się zza rogu, zatrzymała tuż przed werandą i zeskoczyła z konia w chmurze pyłu. Jej słomkowy kapelusz rzucał cień na rozpaloną radosnym podnieceniem twarz.

– Słyszałam, że przyjechałyście – powiedziała Maddie i przeskoczyła przez balustradę, jakby nadal była małą dziewczynką. – Mama przyjedzie później, ale ja nie mogłam się doczekać, więc wskoczyłam na konia i oto jestem – oznajmiła i uściskała Laney.



– Przyjechałyśmy wczoraj wieczorem. – Laney spojrzała na kuzynkę i uśmiechnęła się.

Maddie, już dziewiętnastoletnia, niewiele się zmieniła i nadal wyglądała na niezłą łobuziarę. Była wysoka i szczupła, niemal koścista. Bujna czupryna rudawych blond włosów okalała upstrzoną piegami twarz, w której uwagę przyciągały błękitne oczy. Miała na sobie koszulę, dżinsy i wysokie buty.

– A gdzie Laci? – zapytała Maddie niecierpliwie. – Złożę się, że znowu gotuje. Ach, cóż to za boski zapach?

Z wnętrza domu unosił się ciepły aromat ciasta czekoladowego, choć tak naprawdę było zbyt gorąco, żeby zajmować się pieczeniem. Laci jakoś nigdy to nie przeszkadzało.

– Kto ma ochotę na kawałek ciepłego ciasta? – krzyknęła z kuchni.

– No, zgadnij! – odpowiedziała jej Maddie, a potem spojrzała na Laney z poważną miną. – Chciałabym, żebyście tu zamieszkały. Nie znoszę waszych odwiedzin, bo za szybko się kończą. – Ponownie uścisnęła Laney, tym razem odrobinę dłużej.

Gdy tak trwały w objęciach, Laney poczuła, że kuzynka drży lekko. Chwyciła ją za ramiona i przyjrzała się uważnie. Maddie wzdrygnęła się. Laney, obejmując ją, niechcący podwinęła jej rękaw i dopiero teraz spostrzegła ciemne sińce, jeden po drugim w równej odległości, jakby ktoś zbyt mocno złapał ją za ramię.

– Co to jest? – zapytała, choć chciała raczej zapytać: kto ci to zrobił?

– Znasz mnie – odparła pospiesznie Maddie, ściągając rękaw tak, by zasłonić siniaki. – Zawsze była ze mnie niezłoda. To nic takiego.

Nic takiego? Laney wyczuła, że coś jest nie tak, gdy Maddie rzuciła jej uspokajający uśmiech, który bynajmniej nie wypadł wiarygodnie, i pognała do kuchni.

W dniu, w którym szeryf Carter Jackson poleciał na Florydę, jego zastępca, Nick Rogers, przejął na swe barki ciężar prowadzenia biura. Dlatego nie zdziwiło go, że w niedzielny poranek wezwano go do kolejnej sprawy o napaść.

Już dwukrotnie od momentu podjęcia pracy miał do czynienia z podobnymi sprawami. W obydwu przypadkach ofiarami byli mężczyźni – zaatakowano ich w sobotni wieczór w okolicy baru, kiedy to lokal pękał w szwach, a rozrywki dostarczała grająca na żywo kapela. Zapewne dlatego nikt nie słyszał szamotaniny na parkingu.

Odnalazł Curtisa McAlheneya przy barze. Mężczyzna niespiesznie sączył piwo. Nick usiadł obok i zamówił filiżankę kawy.

Curtis miał rozciętą wargę, podbite oko i złamany nos. Pochylał się nad kontuarem, jakby dokuczał mu ból żeber.

- Złamane czy pęknięte? – zapytał Nick.
- Pęknięte, ale boli jak diabli – odparł Curtis.
- Widziałeś napastnika?

Curtis – trzydzieści parę lat, przerzedzone, brązowe włosy wystające spod zielonej czapki z logo producenta maszyn rolniczych i wylewający się z džinsów pokaźny brzuch opięty koszulką, na której napis oświadczał, że jej właściciel jest darem Boga dla kobiet – obrzucił Nicka podejrzliwym spojrzeniem.

- Napastnika? – powtórzył Curtis jak echo. – Nie

widziałem żadnego napastnika, tylko jakiegoś sukinsyna z kijem bejsbolowym w łapie.

– Widziałeś jego twarz?

Curtis pokręcił przecząco głową.

– Było ciemno. Uderzył mnie od tyłu, powalił na ziemię i sprął na kwaśne jabłko. Wielki był, tyle mogę powiedzieć.

Nick kiwnął głową. To samo usłyszał od poprzednich dwóch poszkodowanych. Przypuszczał, że w rzeczywistości napastnik wcale nie był wielki. Wielkolud uzbrojony w kij bejsbolowy wyrządziłby człowiekowi o wiele większą krzywdę.

– Ukradł ci coś?

Curtis sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Pewnie taki miał zamiar. Chyba doszedłem do siebie szybciej, niż się spodziewał, więc dał drapak, zanim zdążyłem zabrać mu ten jego kijek i pokazać, gdzie raki zimują.

Jasne. Wydawało się, że motywem wszystkich dotychczasowych napaści nie był wcale rabunek, bo w żadnym przypadku mężczyźni nie stracili niczego poza swoim honorem. Napastnik atakował, okładał ofiary kijem i szybko się ulatniał.

– Pokłóciłeś się z kimś, zanim wyszedłeś z baru?

– Nie. Wypiłem tylko parę browarów i trochę potańczyłem.

Ta sama śpiewka. Nick zakładał rzecz jasna, że w grę wchodziło nieco więcej niż „tylko parę browarów”.

– Jeżeli przypomnisz sobie coś jeszcze, to wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział Nick, dopijając kawę.

– Ten gnojek to musi być jakiś przybłęda, nie, Shirley? – rzucił Curtis w kierunku barmanki.

Chuda jak patyk, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta skinęła głową.

– Nikt z miejscowych nie zrobiłby czegoś takiego bez powodu.

Napastnik, pomyślał Nick, kimkolwiek był, miał swoje powody, dla siebie wystarczająco dobre. Rzucił na ladę pieniądze za kawę i drobny napiwek. W tym samym momencie zawibrowała jego komórka.

– Kłopoty w Starym Whitehorse – odezwała się w słuchawce dyspozytorka. – Alice Miller twierdzi, że ktoś ukradł jej kury.

Gdy Maddie wskoczyła na konia i ruszyła w powrotną drogę, Laci oparła nogi na balustradzie i westchnęła:

– Musimy urządzić dla niej przyjęcie.

Laney spojrzała znad książki, której i tak nie czytała. Zamiast lekturze, oddawała się myślom o swojej kuzynce.

Laci sięgnęła po ciastko. Zanosilo się na to, że spędzą ranek na werandzie, zjadając się ciasteczkami, popijając lemoniadę i przy okazji rozmawiając o dawnych czasach.

– Urządzimy przyjęcie zaręczynowe – rzuciła Laci między jednym kęsem a drugim.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – odparła Laney. – Czy Maddie nie wydaje ci się trochę... inna?

Siostra rzuciła jej zaintrygowane spojrzenie.

– Od zeszłego lata zrzuciła parę kilogramów. Wszystkie przyszłe panny młode tak robią, prawda?

Być może.

– Owszem, jest za chuda, ale nie o tym mówię. Maddie nie wydaje się...

– Szczęśliwa? – Laci zaczęła się śmiać. – Maddie mogłaby służyć za wzór szczęśliwego dzieciaka.

– Odniosłam wrażenie, że stara się odrobinę za mocno – odparła Laney.

Widziała swoją kuzynkę zeszłego wieczoru, kiedy razem z Laci wybrały się do miasta, ale Maddie ich nie dostrzegła. Opuszczała bar tylnym wyjściem w tej samej chwili, w której Laney i Laci wchodziły do niego frontowymi drzwiami. Laney zawołała ją, ale najwyraźniej nie zdołała przebić się przez zgiełk panujący w knajpie.

– Pamiętasz wczoraj w barze? Nie była ze swoim narzeczonym.

Laci jęknęła.

– Z Maddie wszystko jest w porządku. Jestem pewna, że nie robiła nic złego. Ot, potańczyła z paroma ranczerami, tak samo jak my. Przecież wyszła z baru sama, prawda?

Laney przytaknęła.

– A widzisz. Maddie po prostu... potrzebuje trochę przestrzeni.

No, może. Laney jednak nie była przekonana.

– Pomóż mi ułożyć menu na tę imprezę. Chcę, żeby to było coś, czego Whitehorse jeszcze nigdy nie widziało. – Laci aż podskoczyła z radości na tę myśl. – Jak sądzisz, co powinniśmy przygotować do jedzenia?

– Nie uważasz, że wypadaloby najpierw porozmawiać o tym z Maddie? Może ona wcale nie ma ochoty na imprezę zaręczynową?

Laci wybuchła śmiechem i podniosła się z krzesła.

– A kto by nie chciał przyjęcia zaręczynowego? Zraz wezmę się za przeglądanie starych przepisów babci. Myślę, że przygotowuję wyłącznie desery. Jak myślisz?

Nie czekała na odpowiedź. Sekundę później trzasnęły drzwi i po Laci nie było śladu.

Laney wpatrywała się w horyzont i starała się określić, co zaniepokoiło ją w Maddie. Może chodziło o to, w jaki sposób kuzynka wyrażała się o swoim narzeczonym, Bo Evansie – że umarłaby bez niego? Albo o to, jak bawiła się swoim pierścieniem zaręczynowym? Albo że dla małżeństwa lekką ręką zrezygnowała z college'u, chociaż otrzymała stypendium?

Wszystko to Laney mogła zrzucić na karb miłości.

Wszystko, ale nie siniaki. A także przecucie, że z kuzynką coś jest nie tak.

Zamknęła książkę i powędrowała wzrokiem wzdłuż drogi. Powróciło do niej uporczywe wrażenie, że za chwilę ujrzy posłańca niosącego złe nowiny.

– Zanieśmy trochę ciastek siostrom – powiedziała Laney, wchodząc do kuchni z talerzem w jednej ręce i szklankami po lemoniadzie w drugiej. – Chcę pójść do szpitala, odwiedzić babcię.

Laci spojrzała na nią, przerywając studiowanie starej książki kucharskiej.

– A możesz iść beze mnie? Nie lubię oglądać babci w takim stanie. Poza tym muszę wziąć się do roboty, jeżeli chcę zdążyć z przygotowaniem wszystkiego na przyjęcie. Myślę, że najlepiej byłoby urządzić je w przyszłą sobotę. Jestem pewna, że pozwolą nam skorzystać z pomieszczeń domu kultury.

Laney zdawała sobie sprawę, że Laci niełatwo było oglądać babcię Pearl po wylewie. Oczy staruszki pozostawały otwarte, ale nie reagowała na żadne bodźce i nie wiadomo było, czy w ogóle rozumie, co się do niej mówi, ani czy poznaje swoje wnuczki.

Babcia leżała w szpitalu chora na zapalenie płuc, kiedy nagle dostała udaru. Dziadek mówił, że to dlatego, że strasznie przejmowała się jakimiś sprawami w Starym Whitehorse.

– Myślę, że obydwie powinnyśmy ją odwiedzić – orzekła Laney. – Dziadek i tak będzie niezadowolony, że dziś rano nie pojawiłyśmy się na jego mszy, więc może uda nam się przekupić go ciasteczkami. Wiesz, że cały czas czuwa przy babci.

Laci kiwnęła głową, aczkolwiek niechętnie.

– Okej, ale nie pozwól mu opowiadać o matce. Nie zniosę tego. On naprawdę uważa, że Geneva pewnego dnia wróci, jak gdyby nigdy nic. Dlaczego nie dotrze do niego, że odeszła na dobre? Z tego, co wiadomo, pewnie nie żyje.

– Widocznie dziadek wierzy, że znów ją zobaczy – odparła Laney, chociaż zgadzała się z siostrą. Gdziekolwiek Geneva Cavanaugh Cherry teraz była, ten dom był ostatnim miejscem, do którego pragnęłaby powrócić.

Nick nigdy wcześniej nie był w Starym Whitehorse. Zupełnie by je przeoczył, gdyby nie zauważył tabliczki ledwie wystającej znad zielska porastającego pobocze.

„Whitehorse. Liczba mieszkańców: 50”.

Wątpliwa sprawa, wzięwszy pod uwagę wiek tej tabliczki. Bardzo wątpliwa.

Nick pokonał szczerbnie porośniętą trawą osiem kilometrów, mając na horyzoncie jedynie nieskończony błękit nieba. Zrozumiał, dlaczego miejscowi nazywają te tereny „wielką otwartą przestrzenią”.

Przebywszy w końcu trawiasty bezkres, dotarł do Starego Whitehorse. Stało tu kilka domów, z których jeden

służył jako miejsce spotkań lokalnej społeczności, ale brakowało sklepu i baru. Nie było też stacji benzynowej, choć można było dostrzec pozostałości jej opuszczonej, wiekowej namiastki.

Niedaleko miasteczka majaczyło kilka drzew i dachów farm, ale tak naprawdę w Starym Whitehorse czuć było duszną atmosferę, jak na miasto widmo przystało.

Zwłaszcza jeden z tych starych budynków przypominał mu pewien nawiedzony dom, który Nick – kiedy był dzieckiem – razem z kumplami obrzucał kamieniami. Zapatrzył się na piętrowy, stojący nieco na uboczu budynek. Z elewacji zesza farba, a dzieciaki wybiły większość szyb na piętrze. Okna na parterze były zabite deskami. Skrzynka na listy leżała przewrócona w trawie, ale gdy przejeżdżał obok, udało mu się odczytać widniejące na niej nazwisko: Cherry.

Opuścił szybę i wciągnął w płuca zapach świeżo skoszonego siana. Roześmiał się w duchu. Tak długo szukał miejsca, do którego mógłby uciec – dosłownie! – i znalazł je w Montanie. Nikt go tutaj nie znajdzie, ba, nawet nie będzie szukał.

Jeśli Whitehorse nie znajdowało się jeszcze na samym końcu świata, to już Stare Whitehorse z całą pewnością tak. Tego wieczoru, kiedy zjawił się w miasteczku po raz pierwszy, usłyszał, jak ktoś mówił w żartach: „Whitehorse to nie koniec świata, ale w bezchmurną noc widać stąd ognie piekielne”.

Nick miał za sobą wizytę w piekle. Być może dlatego od razu poczuł się tutaj jak w domu.

Alice Miller mieszkała na zachód od miasteczka w dużym, białym domu, który krył się za rzędami drzew wznoszącymi się na wysokość ponad pięciu metrów.



A gdy spojrzano się dalej, poza szpaler drzew i budynek, można było dostrzec krainę, która rozciągała się na południe, obejmując swoim obszarem potężną prerię i kończąc się gdzieś na horyzoncie cienką, zieloną linią. Przełom Missouri.

Rozumiał, dlaczego tylu wyjętych spod prawa rewolwerowców Dzikiego Zachodu uczyniło z tego odizolowanego, odludnego miejsca swoją kryjówkę. Chowali się tu przed karzącą ręką sprawiedliwości Kid Curry, Butch Cassidy, Sundance Kid i wielu innych.

Nick liczył na to, że również w jego przypadku Whitehorse okaże się skuteczną kryjówką. Przynajmniej na jakiś czas.

Kiedy Nick zajechał na podwórze, podbiegły do jego wozu dwa australijskie psy pasterskie, świecąc jasnymi oczami, i zabrały się do gryzienia opon.

Zerknął na ujadające psy. Od przyjazdu do Montany nauczył się czuć zdrowy respekt przed psami ranczerów, więc grzecznie poczekał w samochodzie, aż w drzwiach domu pojawiła się starsza pani w granatowej sukience w drobne czerwone kwiatki i w niebieskim fartuchu i zawołała psy. Dopiero wtedy wysiadł z auta.

Alice Miller była drobną kobietą. Miała równo przycięte siwe włosy, a w jej niebieskich oczach gościło poważne spojrzenie. Zaprowadziła Nicka na tył domu do klatki, w której trzymała kury.

– No i proszę – powiedziała, jak gdyby wszystko było jasne.

Nick zajrzał do pustej klatki. Jasne, jak słońce za mgłą.

– Ile miała pani kur?

– Tuzin niosek, cztery koguty i trzy stare kury.

– Znaczą się, dziewiętnaście sztuk drobiu. I wszystkie zniknęły dziś rano.

Skinęła głową i czekała, spodziewając się chyba, że zastępca szeryfa wyciągnie jej skradzione kury z kapełusza.

– To sporo – zauważył.

Kiedy objął stanowisko zastępcy szeryfa, nie mógł wyjść z podziwu, jakiego rodzaju sprawami musi zajmować się przedstawiciel prawa w Whitehorse w stanie Montana. Pies, który uciekł z posesji – ostrzeżenie dla właściciela. Pijacek zakłócał spokój podczas rodeo – trzeba go odwieźć do domu. Zgłoszone zaginięcie – delikwent odnaleziony dwa domy dalej.

Jako glina w wielkim mieście miał do czynienia z każdym przestępstwem, jakie można sobie wyobrazić, a przynajmniej tak mu się wydawało. Ale nigdy nie zdarzyło mu się wezwanie w sprawie zaginięcia dziewiętnastu kur.

Nie było porównania i Nick doskonale o tym wiedział.

– Jak pani sądzi, co mogło się z nimi stać? – zapytał.

Pani Miller przekrzywiła głowę i spojrzała na niego, jak gdyby stroił sobie z niej żarty.

– Najwyraźniej ktoś je ukradł.

– A skąd pani wie, że do klatki nie zakradł się jakiś kojot i po prostu ich nie zjadł?

– A widzi pan tu jakieś pióra?

Cóż, cała klatka pełna była kurzego pierza.

– Widzi pan krew? Kości? – dopytywała się z rosnącym zniecierpliwieniem. – Skąd pan właściwie pochodzi?

– Z Houston.

– Gdzie się podział pana teksański akcent? – zapytała.

– Nie urodziłem się tam. Mój ojciec był wojskowym. Dużo podróżowaliśmy – wymyślił tę historię na poczekaniu. Tak było prościej. I bezpieczniej.

Pani Miller sapnęła i położyła dłonie na biodrach.

– Nie zamierza pan poszukać odcisków palców? Jakichś tropów albo co?

Odcisków palców? Chyba nie mówiła serio. Tropy? Zeszłej nocy padało, a wszędzie dokoła pełno było śladów pozostawionych przez jej psy.

– Czeka na mnie pranie – oznajmiła i odwróciła się na pięcie.

Tymczasem Nick okrążył klatkę dla drobiu, czując się jak ostatni głupek. Nigdy w życiu nie szukał żadnych tropów. W niczym nie przypominało to pościgu przez parę przecznic i kilka ogrodzeń za rabusiem, który zwiewał, bo właśnie obrobił sklep całodobowy. No tak...

Ku swemu zaskoczeniu znalazł jednak coś, co nie pasowało do tego miejsca. Kucnął i zbadał trop. Prażące słońce sprawiło, że błoto pokrywające podwórze zdążyło już stwardnieć. Nick dostrzegł w nim odcisk buta. Małego, dziecięcego buta.

Obszedł dom dokoła i znalazł panią Miller zajętą rozwieszaniem prania.

– Kto mieszka z panią w tym domu? – zapytał.

– Mój mąż. Pojechał kosić siano, a co?

– Czy macie państwo jakieś wnuki? Albo może w ciągu ostatniej doby odwiedziły was jakieś dzieci?

– Nie. Co to niby ma wspólnego z moimi kurami?

– Żadnych dzieci u sąsiadów? – dopytywał się cierpliwie.

Alice Miller zmarszczyła brwi.

– Jest taki chłopiec. Jego ciotka i wujek wynajmują niedaleko farmę.

Nick wyciągnął notatnik i ołówek.

– Jak wyglądają te kury? – Odczekał chwilę, nie usłyszał odpowiedzi, spojrzał więc na nią i zobaczył, jaką miała zdziwioną minę. – Okej. Czy byłaby pani w stanie rozpoznać je, gdyby je zobaczyła?

– Proszę po prostu odnaleźć moje kurki – odparła i wróciła do przerwanej zajęcia.

Nick podążył tropem chłopca, zachodząc w głowę, jak dzieciakowi udało się ten numer. Dziewiętnaście kur to nie byle co. Czy nie powinny były podnieść rwetesu, który słychać byłoby w domu?

Wyobraził sobie panią Miller ze strzelbą w rękę, jak ubrana we flanelową koszulę nocną wychodzi na ganek, wodząc dookoła wściekłym wzrokiem.

Nagle usłyszał warczenie psa, oderwał wzrok od odcisków stóp i zdał sobie sprawę, że dotarł do farmy sąsiadującej z ranchem Millerów.

– Halo! – zawołał, zezując w stronę psa.

Tym razem nie był to pies pasterski, ale jakiś wielki i włochaty kundel.

– Halo! – powtórzył, obawiając się, czy aby pies nie wyczuje strachu w jego głosie i nie zaatakuje. – Spokojnie, Burek, spokojnie.

– Kurom nic się nie stało – usłyszał.

Chłopak – tyczkowaty, dwunastoletni blondyn z wielkimi uszami – stał na stopniach prowadzących do tylnego wejścia do domu.

– Świetnie – odparł Nick. – Czy możesz zawołać psa?

– Prince, nie! – krzyknął chłopiec.

Pies przez kilka sekund mierzył Nicka wzrokiem, po

czym wolnym krokiem podszedł do dzieciaka i usiadł obok niego.

– Nazywam się Nick Rogers, jestem zastępcą szeryfa – pożyczyl sobie tego „Rogersa” ze starego westernu, który oglądał w przeddzień wyjazdu. – A ty jak się nazywasz?

– Chaz. To znaczy na imię mam Charles, ale wszyscy mówią na mnie Chaz – odparł chłopiec. – Jeżeli zamierza mnie pan aresztować, to musi pan wiedzieć, że mój wujek i ciocia pojechali do miasta. Nie wiem, kiedy wrócą.

– Gdzie są kury pani Miller?

Chłopiec wskazał szopę w tylnej części podwórza.

– Miałem zamiar je oddać. Serio.

– Po coś je w ogóle zabierał? – zapytał Nick, zerkając w stronę domu. – Brakuje ci jedzenia czy jak?

– Nie – odparł Chaz z oburzeniem, kiedy szli w kierunku szopy. Z wewnątrz dobywał się harmider. – Mam dość jedzenia. I wcale nie ukradłem tych kur.

Pewnie, że nie. I nie zostawiłem po sobie śladów prowadzących prosto do kurnika pani Miller.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Chaz uchylił nieco drzwi szopy, żeby Nick mógł się przekonać, że wszystkie dziewiętnaście sztuk drobiu jest całe i zdrowe. Kury wyglądały co najmniej dziwnie, jakby ktoś posmarował im pióra klejem, ale z drugiej strony, cóż takiego Nick mógł wiedzieć o kurach poza tym, że można je kupić w sklepie spożywczym oskubane i ułożone na plastikowych tackach?

– Musimy przetransportować je z powrotem do pani Miller – orzekł Nick.

– Wiem. Zastanawiałem się, jak je odnieść – odparł chłopak.

– Najłatwiej by było, gdybyś przeniósł je w taki sam sposób, w jaki je ukradłeś.

– Mówiłem już panu, że to nie ja je ukradłem.

– Jasne.

W tym momencie jedna z kur dojrzała szparę w drzwiach, ruszyła w jej kierunku z impetem i wypadła na podwórko.

Zanim Nick zdążył zareagować, Prince ruszył za nią w pogoń.

– Nie! – wrzasnął Nick.

Za późno. W ułamku sekundy Prince złapał kurę w zęby i przybiegł do nich w podskokach. Wyglądał jak kot, który właśnie zjadł kanarka.

A potem, ku zaskoczeniu Nicka, położył na ziemi zaślinioną kurkę, która otrząsnęła się i wstała, jak najbardziej żywa. Chłopiec złapał ją, po czym wrzucił z powrotem do szopy.

– Rozumie pan, w czym problem? – powiedział. – Kiedy Prince przyniósł do domu jedną kurę, zaraz ją odniosłem. Ale nie wiedziałem, że ostatniej nocy przyniesie je wszystkie.

Nick wpatrywał się w psa.

– Chcesz mi powiedzieć, że to Prince je ukradł?

Chaz skinął głową.

– Mówiłem mu, żeby tego nie robił, ale Prince lubi przynosić różne rzeczy. – Chłopak wzruszył ramionami. – To jego jedyna wada. Poza tym jest naprawdę świetnym psiakiem.

Chaz poklepał kundla po głowie, na co pies wywiesił język. Niewykluczone, że oznaczało to uśmiech.

Nick zaklął, zdjął kapelusz i przeczesał dłonią gęstą czuprynę.